Zeszyt 8. Rok I.



Lwów 21. Marca 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7·40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

XI.

(C. d.) Podczas balu, w wirze zabawy, Miller pilnie obserwował Minę i Julka Zarembę. Dziewczyna wyglądała prześlicznie w swym różowym stroju, na pół obnażona, olśniewając wszystkich pięknością swych przepysznie rozwiniętych form. Suknia, jak kazała moda ówczesna, obcisła aż do przesady, oddawała wiernie wszystkie tajemnice tych form, podnosząc ich urok, pozwalając się domyślać wiele. To też młody Julek był wprost oszalały. Chodził za Miną, z nią tylko tańczył, w nią tylko miał wzrok wlepiony. Ciężka atmosfera sali, przesiąknięta zapachami różnych kosmetyków, wyziewami kilkudziesięciu ciał, w których puls bił żywiej, upajała go, kazała mu zapominać o wszystkiem, o oczach śledzących go ciekawie, zawistnie, z gotową plotką na ustach.

Po walcu, którego lubieżne kołysanie się, sprawiło mu zawrót głowy, spędziło mu wszystką krew do mózgu, dysząc jeszcze zmęczeniem i ogniem swej krwi młodej, siadł przy Minie i szepnął:

— Ja panią kocham jak szaleniec jaki; ja to już raz pani powiedziałem... i cóż pani nato?

Spojrzała mu śmiało w oczy i rzekła:

— Nic; wolno panu mnie kochać — nie mogę przecież tego nikomu zabronić...

Obojętność jej gniewała go.

— Ale ja się chcę z panią ożenić... czy mogę prosić wuja o jej rękę?

— O, niech pan tego nie robi, bo ja za pana nie pójdę.

— Dla czego? — wrzał już cały.

— Niech pan ciszej mówi, bo ucieknę...

— Dobrze, będę ciszej mówił, ale niech mi pani powie, dla czego mię nie chcesz?...

— Czy mogę mówić otwarcie?

— Proszę o to...

— Więc dobrze. Dla tego nie chcę iść za pana, żeśmy oboje ubodzy, a ja już mam dość ubóstwa, więcej doznawać go nie chcę... Może nie jest mi to nieprzyjemnem, że mię pan kocha, może i ja mam dla niego sympatję, ale ja się nędzy boję... Ja chcę żyć i używać, a nie myśleć ciągle o tem, czy na jutro będę miała kawałek chleba... Oto wszystko; proszę, niech pan się na mnie nie gniewa i zostańmy zawsze jak dotąd dobrymi przyjaciółmi... a teraz, rozejdźmy się, bo zaczynają na nas zwracać uwagę.

Wstała i porwana przez jakiegoś tancerza, zniknęła z oczów Zaremby, w tłumie różnobarwnym kobiet. On siedział wściekły, oszalały z bolu, poniżony przed sobą samym, bezsilny, w obec tego oporu. Nie obchodziły go rozkoszne uśmiechy kobiet, rozkoszniejsze jeszcze ich białe ramiona i piersi, ich spojrzenia ulotne, cała ta ruchliwa, barwna, odurzająca atmosfera balu. Siedział, siedział wodząc błędnym wzrokiem po sali, wsłuchując się w melancholijne tony modnego wówczas walca. Nakoniec wstał, przetarł czoło i poszedł do jednego z dalszych pokoi, gdzie stało wino. Wypił trzy kieliszki jeden po drugim, odetchnął głęboko i usiadł na kanapie pod ścianą, wy-

ciągając leniwie nogi. Obie ręce włożył w kieszenie spodni, spuścił głowę i myślał.

— Ona ma racją, że chce użyć świata. Cóż tu jest innego do roboty? Ale i ja mam racją że się chcę z nią ożenić. Jest prześliczna, podoba mi się, kocham ją. Pożycie z nią sprawiło by mi tysiące przyjemności, tysiące rozkoszy... Och! jakież głupie życie, jakże głupie! I znów zostanę sam z memi myślami, z wiekuistą pustką.

Wstał, poszedł do okna i spojrzał na niebo, na którem tysiące gwiazd migotało w poważnem milczeniu przestrzeni.

— Nie! — szepnął — ja tam patrzeć nie mogę. Tajemnica wszechświata przeraża mię!

Odwrócił się i spostrzegł przechodzącą przez pokój pannę Karolinę. Szła w ciężkiej, bronzowej sukni, szeleszcząc nią głośno.

— Jakże się pani bawi panno Karolino? - spytał.

— Chciałabym proszę pana uciec już do domu.

— Cóż znowu? Kolacja przecież będzie. Słyszałem, że pieczyste ma być wyborne, zwierzyna, ptaszki, ryba w majonezie. No, o winie niema co mówić, jest wyborne. Stary Miller sięgnął do piwnicy i wydobył ztamtąd prawdziwy nektar. Dla czego pani chce już uciekać?

— Muszę być jutro rano na mszy w kościele; nie mogę zresztą tak długo siedzieć, to mi szkodzi...

— Bratowa jeszcze zostaje, nie wiem jak się pani dostanie do domu? W którym kościele pani bywa?

— Ja jak zawsze u Augustynów. To najmilszy kościół. Gdzieindziej to nabożeństwo odprawiają jakoś po nowomodnemu...

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się — mój Boże, jaka pani szczęśliwa!

— Ja? co też pan mówi panie Juljanie.

— Mówię prawdę. Jest pani spokojna, życie uregulowane, pewność o przyszłość zagrobową... czegoż więcej potrzeba? żadnych pragnień, żadnych namiętności, żadnych zwątpień...

Przetarł ręką czoło i zapytał:

— Nie wie pani gdzie jest bratowa?

— W sali, tańczy...

— Idę do niej.

Żwawo zwrócił się i pobiegł do sali. Stanął na progu i patrzał na przebiegające przed nim pary. Widział Minę zwieszoną na ramieniu jakiegoś młodzieńca z czarnemi wąsami i czarną hiszpanką, podobnego zupełnie do woskowych figur, wystawianych w oknach sklepów fryzjerskich. Widział jej pyszne ramię, z dołkami na łokciach i westchnął. Potem przesunęła się przed nim okazała, majestatyczna postać jego bratowej, z pysznemi zwojami złocistych włosów, które spadały jak kaskada roztopionego złota na jej kark biały, pełny, gładki i lśniący. Pani Zygmuntowa także walcowała z pewnem namiętnem upojeniem, a biała jej, duża pierś falowała silnie. Pełność jej kształtów, pełność trzydziestoletniej pięknej kobiety, mającej samowiedzę wszystkich swych uroków, umiejącej kochać i używającej miłości ze spokojem, z możnością i umiejętnością wyczerpania do dna wszystkich jej rozkoszy, malowała się w tej pięknej, wspaniałej postaci niewieściej. Walcując rzuciła przelotne wejrzenie na Julka i uśmiechnęła się ironicznie z jego miny zafrasowanej, smutnej, ogłupiałej przez cios jaki go spotkał i przez wino.

Nagle usiadła zmęczona i wachlując się, wzrokiem wezwała do siebie Julka.

— Cóż kuzynku, dostałeś odkosza?—zaśmiała się.

Zaczerwienił się po same uszy.

— Zkądże bratowa to przypuszcza?

— Widziałam was oboje, łatwo się było domyśleć o czem mówiliście... — śmiała się ciągle.

Nic nie odrzekł. Ona mówiła dalej:

— Ale nie martw się kuzynku — nie będzie ta, to będzie inna, prawda? no, może powalcujemy? Jestem zmęczona, ale dla pocieszenia rycerza smutnej postaci, gotowa jestem poświęcić się.

I kładąc śliczne swe ramię na jego ramieniu, szepnęła:

— „Falo! niewierna falo, a tak wierna!“

Miller widział także rozmowę Julka z Miną i z rozpaczliwych ruchów młodzieńca domyślił się, że szło o ważne rzeczy. Powoli w duszy tego starca podnosiła się burza, straszliwy huragan. Rozmyślając od kilku dni nad ożenkiem swoim z Miną, powoli przyzwyczajał się do uważania dziewczyny jako swoją wyłączną własność. Gniewały go więc straszliwie, widoczne dla wszystkich zaloty Julka. Swemi maleńkiemi siwemi oczkami, śledził ich z zazdrością namiętną i gwałtownie hamowanym gniewem.

— Donnerwetter!— szeptał — tego smyka trzeba raz od Miny odsadzić, jak kota od mleka.

Widział, bo ani na chwilę jedną nie spuszczał z dwojga młodych ludzi wzroku, jak siedli, jak rozmawiali, jak potem Mina trochę więcej niż zwykle zarumieniona wstała i puściła się w wir walca, a Zaremba został z tragi-komicznym wyrazem twarzy. W obec tego postanowił Miller zaraz wybadać Minę.

Ale nie było to łatwem. Dziewczyna ciągle tańczyła. Z główką przechyloną na ramię tancerza, uśmiechniętą rozkosznie, na pół omdlała w objęciach mężczyzny, przypominała owe kobiety w ekstazie miłosnej, na obrazach starych mistrzów włoskich. Miller śledził ją ciągle i coraz bardziej, stare, uśpione namiętności budziły się w tym starcu. Było to tak, jakby pił truciznę po kropli. Chodził po sali w swym starym trochę, tu i owdzie wytartym i pociętym przez mole fraku, uśmiechał się do kobiet, mężczyzn zapraszał do picia wina, a Miny z oczów nie spuszczał. Atmosfera duszna balu, oszołomiała go także.

On tak dawno nie był na żadnym balu. Był przytem zirytowany. Joanna z widoczną niechęcią zajmowała się obowiązkami pani domu i jak tylko mogła, zaraz uciekała z sali, by się w niej pokazać po upływie znacznego czasu dopiero. Jej surowa, poważna twarz, gniewała Millera, a przytem stawała się dlań pewnego rodzaju wyrzutem. Co z nią zrobi, gdy się ożeni? Dobrze, że jej da utrzymanie dostatnie, ale siostra może nie przyjąć, może nie będzie chciała opuścić domu braterskiego, do którego się przyzwyczaiła i którego zapewne nie chciała nigdy opuścić. Nie chciał jednak nad tem myśleć, ale był zirytowany tem wszystkiem. Niekiedy widząc szept Miny w walcu do jakiego młodego tancerza, oburzał się i mówił sobie:

— Jakie głupie te dziewczęta i ci młokosi! Wszystko to strasznie jest niesumienne. Świat mi się wydaje, jakby pękał od szczytu do najgłębszych fundamentów.

Ale nakoniec dostał się do Miny, która skończywszy walca, pobiegła do swego pokoju i twarz gorejącą zmęczeniem, chłodziła pudrem.

Miller usiadł przy niej.

— Kilka tylko słów Mino, bo nie mam czasu. Co ci mówił Julek Zaremba? Powiedz mi otwarcie, chcę o tem wiedzieć.

Spojrzała na niego mocno zdziwiona i rzekła:

— Nic wuju, coby warto było powtarzać.

— Nie mówisz mi prawdy. Mam dobry wzrok i umiem czytać w twarzach ludzkich. Widziałem, żeście mówili o rzeczach bardzo ważnych i bardzo was interesujących. Otóż chcę, byś mi to powiedziała.

— Ach mój wuju, kiedy to takie... śmieszne!

— Tem lepiej, i ja się uśmieję. Ale nie sądzę, żeby to były rzeczy śmieszne. Czekam Mino.

— Mój wuju... kiedy już chcesz koniecznie, to muszę ci powiedzieć, że pan Julian mi się oświadczył.

— Oświadczył ci się? ten młokos, ten smarkacz, ten próżniak!.. Donnerwetter, on śmiał ci się oświadczyć?

Był tak rozgniewany, że chwyciwszy jakąś wstążkę, potargał ją na strzępki. Mina patrzała nań z coraz większem zdziwieniem i przerażeniem. Nigdy jeszcze nie widziała swego wuja w takiem uniesieniu. Zerwał się z krzesła, na którem siedział i począł chodzić po tym ciasnym pokoiku, zarzuconym teraz różnemi fatałaszkami i stroikami, zastawionym pudłami, pełnym nieporządku. Potrącał nogami krzesła i spódniczki Miny. Nagle zatrzymał się a wzrok jego ciskał błyskawice.

— Cóżeś mu odpowiedziała na to bezczelne oświadczenie?

Nie mogła wytrzymać jego wzroku. Przestraszona do głębi, spuściła oczy i rzekła:

— Nic mój wuju. Odpowiedziałam mu, że to być nie może, że ja nie jestem dla niego.

— Takeś mu odpowiedziała?

— Tak, wuju.

Odetchnął z głębi piersi, uspokoił się i mówił:

— To dobrze Mino, to bardzo dobrze. Spodziewałem się tego po tobie. Ale — dodał po chwili namysłu — trzeba to raz skończyć, trzeba położyć tamę tego rodzaju oświadczynom... Proszę cię Mino, uważaj pilnie co ci mam powiedzieć. Ja nie chcę by cię ci smarkacze więcej nagabywali swemi oświadczynami, nie chcę tego, rozumiesz?

— Dobrze wuju.

— Ja chcę żebyś była moją żoną...

Zbladła i podnosząc swe śliczne oczy na niego, z wyrazem przerażenia i zdziwienia, szepnęła:

— Twoją żoną wuju?

— Tak, moją żoną... jutro zaraz dam na zapowiedzi... trzeba to prędko skończyć...

— Ależ wuju...

— Tak jest, moją żoną. Chcę się z tobą ożenić, chcę byś była szczęśliwą. Jestem bogaty, bardzo bogaty. Nikt nie wie jak jestem bogaty, a przecież mógłbym kupić wszystkich co tu są... tak, jestem bogaty i chcę się ożenić...

Mówił szybko, na pół nieprzytomny.

— Chcesz być Mino moją żoną?

— Dobrze wuju! — odrzekła siadając na krześle i zakrywając płonącą twarz białemi rękami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do Luny.

Jam był wesół i ochoczy
I nie znałem, co to łzy,
Bom pokochał siwe oczy,
To urocze miałem sny.

Kiedy jednak raz mi rzekła:
Nie chcę więcej z tobą żyć —
Choć się słów tych później zrzekła,
Jam spokojnym nie mógł być!

Odtąd nieraz myślę z trwogą,
Że powtórzy słowa te, —
I choć zawsze jest mi drogą,
Nie jest dawną — o nie — nie!

I choć wierzę, że mnie kocha,
O jej zmienność lękam się;
Chociaż wierzę, że nie płocha,
Echo słów jej dręczy mię.

Włodzimierz Narajewski.

MARKIETANKA.

NOWELLA.

Manewr skończony. Trąbki zagrały, nawołując do odwrotu ze stanowisk. Obozy nieprzyjacielskie połą-

czyły się po kilkugodzinnej walce. Zakomenderowano *ruht*, karabiny ustawiono w kozły, i synowie Marsa pozrzucawszy tornistry, ciężary i bagaże, oddali się dobrze zasłużonemu wczasowi.

Koło przekupniów i markietanów ruch największy. Wszystko co żyło rzuciło się do gorzałki, placków i kukiełek, napełniając nieopisanym gwarem powietrze. Rekruci i rezerwiści spełniają gorliwie swój obowiązek fundując panom kapralom, fürerom i feldfeblom, jako bezpośrednim swoim przełożonym, napitek i przekąskę. Ja, rzecz naturalna, uważałem za swój obowiązek ugościć mego szefa w osobie kaprala p. Mychajła Dubyny.

Mój Dubyna był to góral z pod Beskidu, barczysty i krępy jak niedźwiedź karpacki, o czarnem, pełnem oku i sumiastych, groźnych wąsach. Lata przepisowe dawno już odsłużył, ale nie zrzucał munduru, do którego przyrósł, czekał i pracował na awans marząc o trzech gwiazdkach i żółtym pasku, jak góral o kwiecie paproci w noc świętojańską. Służbista był z niego nadzwyczajny, pułkownik był dla niego Bogiem, a oficerowie co najmniej archaniołami; służył poczciwie i wiernie, co z dumą często o sobie powtarzał. W służbie nieubłagany i surowy, prawdziwy bicz na rekruta, po służbie druh dobry i brat serdeczny. Bali się go też rekruci, ale i kochali zarazem.

Dzieje pułku, w którym od dziesięciu lat przeszło służył, znał wybornie i często je lubiał opowiadać pułkowem narzeczem, mięszając wyrazy obce do rodzinnego ruskiego języka.

P. Dubyna raczył protekcjonalnie częstunek przyjąć, wypił kielich gorzałki a obtarłszy garścią sumiaste wąsy, odsunął zapoconą czapkę z czoła i rzekł:

— Hej, hej, ne ma naszej kantynierki, ne ma i horiwki fajnoji, ne ma i szperki tłustoj do chleba, ne ma i prynuki. Za dorohie hroszi dadut tobi świństwa a ty pyj nieboże! *Schweinerei*, taj tylko!

— A co to za kantynierka, panie kapral — zagadnąłem ciekawie.

— Et, duże byłoby gadać... — machnął ręką i rzemienia popuścił u bioder.

Kupiłem panu kapralowi drugi kielich „świństwa“ który snać nie musiał mu sprawiać wielkiego obrzydzenia, bo gorliwie przestrzegał, aby przekupień pełno mu nalał, wypił i dobrze sobie podjadłszy, skłonniejszym się okazał do pogawędki. Ułożywszy się w cieniu i zaćmiwszy podane mu cygaro, taką mniej więcej o Zośce kantynierce rozpoczął gawędkę:

Był ci przy naszym regimencie feldfebel, dobre powiadają człeczysko; ja go nie znał, jakem narukował to go już nie było, a miał żonkę krasną jak jagoda, a poczciwą i słodką choć do rany przyłożyć. Dzieci nie mieli, może by i mieli, ale zmarło się nieborakowi na cholerę i zostawił hołubku samoju. Zośka iść gdzie nie miała, bo to ani chatynki, ani detynki, na służbę iść nie chciała, a i markotno byłoby jej bez regimentu, do którego przywykła. Toż pozbierała grosza i zrobiła sobie kantynę.

A że chwacka była sobie kobiecina i gospodarna, powodziło jej się niezgorzej.

Zawsze masz pełniuteńko w kantynie, bywało gwarno a wesoło, bo to i zagadać umiała, pochichotać się a poradzić.

Bywało, człek grosza przy koszuli nie miał a zjeść i wypić było, bo zawsze zborgowała, a każdy musiał sprawiedliwie oddać, bo drugi raz by nie dostał i biedy jeszcze napytał, bo sam pan oberst nawet Zośkę lubiał i oficerowie do kantyny często gęsto zazierali.

Skończyła się zima, a słonko ciepłe zagrzało, Zośka brała swój koszyk na plecy, ta marsz z nami na pole, na *ibunki* i *manebry*, szła, jak stary żołnierz a jak zawołali: *ruht*, dalejże wszystko sypało się do Zośki na horiwku i prekusku.

Tak bywało przez lat mnogo i wychodzili jedni a rekruty przychodzili, i znowu ci poszli a inni narukowali, a kantynierka nasza była ta sama, wszystkich po imieniu znała, karmiła i poiła i cały regiment był jakby jej dzieci, a ona nasza maty.

Bo i serdeczna była z niej kobiecina, do zabawy poszukać takiej, a dolegało ci co, albo gryzł cię robak, umiała tak ci wyperswadować i dobre słowo powiedzieć, przyhołubić a pocieszyć, żeś migiem zapomniał i spekał się frasunku.

Jak powołali nasz regiment do Bośnii, było ci lamentu i płaczu, jak na sądzie ostatecznym. Każdy chodził markotny i zadumany, modlił się a płakał, bo nie wiedział czy wróci, czy gdzieś tam na końcu świata nie przyjdzie mu zamknąć oczu. Ale jak Zośka powiedziała, że z nami pójdzie, jak zaczęła burczeć a śmiać się z nas wszystkich, tak i wstydno nam było i pociecha w cały regiment wstąpiła. Pan oberst nie chciał Zośce pozwolić z wojskiem jechać, perswadował i odmawiał, że droga daleka, że to prawdziwa wojna, gdzie naprawdę kule latają, nie jak na *manebrach*, ale Zośka jak się uparła z nami iść, tak nie było i rady... poszła.

Różnie tam w tym dzikim kraju bywało, nieraz głodno i chłodno, ale i wesoło. Wieczorami nie wolno było nikomu z obozu wychodzić, ta siedzieli wszyscy w kantynie u Zośki, śpiewali, o domu opowiadali, śmiali się i płakali. I było nam z nią dobrze, że i u batków rodzonych lepiejby nie było.

Siedzieliśmy już z jaki rok w tej Bośnii i mówiono, że nie długo do domu wrócimy, to uciecha była w całym obozie, bo to i tęskno i markotno przeciek za swoimi, ale tam w górze było zapisane, że nie wszystkim do domu droga się ściele...

Nasz pan oberst dostał rozkaz połączenia się z innymi pułkami, co stały w mieścinie, co się nazywa Tuzla.

Od naszego obozu do Tuzli nie było więcej, jak dobre pół dnia drogi.

O wschodzie słońca ostrożnie i pocichutku wymaszerowaliśmy *sakumpak* i szliśmy między góry, a dzikie skały i lasy.

Szliśmy tak już ze trzy godziny. Bośniaka nie było ani na lekarstwo nigdzie widać, to też przystanęliśmy trochę, aby odpocząć. Zośka kręciła się wesoło, gadała i śmiała z tych, co wzdychali a pokryjomu popłakiwali za domem i rodziną.

Ledwo posiadaliśmy na ziemi i z *brodsaków* chleb powyciągali, jak tu naraz z skał błyśnie i huknie, jak zaczną gwizdać kule i toczyć się kamienie, powstał hałas i popłoch, krzyk i wrzawa. Komenda swoje, my swoje, ani się pozbierać i porządnie zrobić *„vergatterung“*.

A tu z góry wciąż prażą górale, kilku naszych przewróciło się, my zaczynamy dawać ognia z dołu, pan kapitan biega, krzyczy i woła, a tu niewiedzieć gdzie stanąć i gdzie strzelać.

Koło mnie padł rekrut, krzyknął tylko „Jezus Marja“ i nie żył. Zośka, co była niedaleko, skoczyła do biedaka, chciała go podtrzymać, czy jakie licho, wtem trafiona w piersi, pada skrwawiona na ziemię. Wściekłość mnie wzięła, jak huknę na swoich, jak zaczniemy od tyłu drapać się na skałę, jak spadniemy z nienacka na górali, jak weźmiemy ich w dwa ognie, tak migiem pouciekało gdzieś psiarstwo i wkrótce wszystko ucichło. Nie goniliśmy górali, wróciliśmy na dół do swoich, gdzie był płacz i lament. Ten *mental* — i wskazał z dumą na piersi — za to mi dali. Padło naszych coś kilkudziesięciu, ranni jęczeli żałośnie, jedni dogorywali, inni mocowali się ze śmiercią.

Koło Zośki ciżba, że ani się dopchać, oficery wszystkie i *regimentsarzt*, żołnierze naokoło nasłuchiwali i od czasu do czasu łzy rękawem obcierali. Żyła jeszcze i stękała okrutnie.

Wzięliśmy ją i innych rannych na nosze i powoleńku dalej maszerowali w smutku i żałobie.

Dowlekliśmy się do Tuzli.

Zośkę i rannych wzięto do szpitala. Sam pan *regimentsa zt* chodził do niej, chuchali na nią i doglądali, jakby hrabianki jakiej, a ta coraz gorzej i gorzej, rana się zapaliła okrutnie i nie było dla niebogiej ratunku. Umeraty biednej przyszło, daleko od świata i swoich.

Przed śmiercią wyspowiadała się przed księdzem i kazała prosić do siebie samego pana obersta. Poszedł do niebogiej pan oberst i siedział przy niej z jaki kwadrans, a jak wychodził ze szpitalu tom widział na własne oczy, łzy mu jak groch z oczu leciały.

Umarła biedaczka. Lamentu i płaczu było w całym obozie, jakby każdemu rodnija zmerła maty.

Po co niebogiej było iść po śmierć gdzieś na koniec świata?

Na drugi dzień rano stało w *befelu*, że Zośka kantynierka zapisała przed śmiercią na nasz regiment ośmdziesiąt reńskich, i że na pogrzeb ma wyrukować cały regiment w paradzie.

Tak się też i stało. Miała biedaczka pogrzeb, jakby sam pan generał, albo oberst umarł. Muzyka grała żałośnie, za nią szedł nasz karawan, za nim pan oberst, kapitan, oficery, a potem cały *manszaft* w paradzie i z bębnami.

Legła nieboga w grobie, a na mogiłce stanął krzyż dębowy, a na nim napisano:

†

Tu leży Zośka,

kantynierka *** regimentu.

...Tak, tak, teraz śpi tycho nasza Zośka, nasza dobra maty, naj jej świtło wikuiste bude... — kończył kapral Dubyna, a głos mu drżał jakoś i coś niby łza w sumiastych ukryła się wąsach.

Stanisław Błotnicki.

Kwiat szczęścia.

(C. d.) Oczy Henryka zabłysły radością, ale odpowiedział z udanym przymusem, jak gdyby go ta wiadomość nie bardzo mile dotknęła:

— Jesteś pan na nas zbyt łaskaw i prawdziwie nie mam odwagi nadużywać pańskiej dobroci... przy takiem zajęciu każda chwila jest panu drogą.

— Bądź pan spokojny o mnie. Znajdę jeszcze na tyle wolnego czasu, żeby tu przyjść w pewnych dniach, a jak się okaże tego potrzeba przyjdę codziennie, dwa razy na dzień! — odrzekł doktor z złośliwym uśmiechem, patrząc przytem bystro na Henryka. — Gilbert! co pan tam robi? — krzyknął nagle ujrzawszy swego asystenta krążącego około werandy, ku której Andzia zdążała z drugiej strony.

Młody człowiek zadrżał na głos swego chlebodawcy i pospieszył co prędzej do jego boku.

Eberhardt nie zapomniał wypadku z płytą szklanną, którą Gilbert upuścił na widok Andzi, posłał więc dziewczęciu jadowite spojrzenie i ująwszy zastraszonego chłopca pod rękę poprowadził coprędzej do powozu.

Henryk pożegnał doktora grzecznie lecz bardzo ceremonjalnie, nie ukrywając pewnego rodzaju rozczarowania, co eskulapowi sprawiało niezmierną radość, ale wracając do pałacu wykrzyknął radośnie:

— Wiedziałem, że jest nadzieja!

W salonie panowało jednogłośne oburzenie i na pierwszy rzut oka można było poznać jakie wrażenie zostawił po sobie doktor Eberhardt.

Półcień melancholijny, usposabiający do smętnych marzeń, ustąpił miejsca promieniom słońca, a z nim znikła duszna atmosfera, która się tutaj roz-

siadła wszechwładnie. — Pani Ewelina leżała na szeslongu otoczona całą służbą, cucącą ją z omdlenia, w które popadła z powodu zbyt szorstkiego obejścia się Eberhardta; Gwido dotknięty do żywego zaaplikowanym mu epitetem „pierwszego lepszego“ zaklinał się na wszystkie świętości, że nie ścierpi aby nogą tego nieokrzesanego pana doktora przestąpiła progi willi Rehfeld, w czem mu papa Kroneg sekundował z całych sił, na domiar opowiadała Andzia jak ten potwór porwał biednego pana Gilberta, tego miłego i skromnego młodzieńca i ciągnął go za sobą niby ofiarę przez ogród, a to dlatego tylko, że się ośmielił odstąpić go na małą chwilkę.

* * *

Obejście domowe Ambrożego, położone wysoko nad doliną pomiędzy wspinającemi się wierzchołkami gór, odpowiadało zewnętrznym swym widokiem usposobieniu właściciela.

Mieszkańcy doliny rzadko tam zaglądali, raz, że droga do zagrody była bardzo utrudzającą i potrzeba było dwóch dobrych godzin, żeby się tam dostać, powtóre, że Ambroży nie słynął z zbytniej gościnności, a nawet wręcz niegrzecznie obchodził się z nawidzającymi go.

Stara gospodyni i chłopak pasący owce wystarczali staremu odludkowi, który tylko w święta i niedziele schodził na dół do kościoła.

Nie miał Ambroży przyjaciół wśród mieszkańców, ale wszyscy okazywali mu pewien szacunek dla nieustraszonej odwagi, z której słynął na kilkanaście mil do okoła i często udawali się do niego o pomoc lub radę, jeżeli zagrażało niebezpieczeństwo od wezbranych wód górskich, lub gdy chodziło o wspólną obławę na niedźwiedzie wyrządzające znaczne szkody.

Ambroży stał przed chatą i rozmawiał z młodym wieśniakiem uzbrojonym w długi kij ostro okuty. Był to silnie rozwinięty, barczysty chłopak, przyjemnej powierzchowności, z energicznym wyrazem twarzy i bystrem spojrzeniem, ale obecnie spoglądał niewesoło i zaciskał pięście.

Spojrzał na zachodzące słońce i pożegnawszy starego zabierał się powrotem do wsi.

— Czego się tak spieszysz? wypocznij trochę! zajdziesz jeszcze na czas — tłumaczył Ambroży.

— Muszę przed nocą być w domu... przyrzekłem...

— Kundzi zapewne? — poderwał stary, a po chwili dodał: — Jak wy tam jesteście z sobą?

Wicek, tak się nazywał chłopak, zachmurzył się jeszcze więcej na wzmiankę o córce bogatego oberzysty i ociągając się odpowiedział:

— Albo ja wiem? Zdaje mi się, że podobno wszystko pomiędzy nami skończone.

— Cóż za licho strzeliło pomiędzy was? Myślałem, żeście się dawno porozumieli.

— I ja tak myślałem, ale inny wlazł mi w drogę. Włóczęga z za świata, panicz! przysiadł się do dziewczyny i zawrócił jej głowę... Siedziałem na górze z owcami i ani przez głowę mi nie przeszło, że tam kto inny zachodzi do gospody i odbiera mi Kundzię. Dopiero w przeszłą niedzielę doszły mnie słuchy o całej historji.

— Mówiłeś już z Kundzią?

— Miałem może' czekać? mówiłem, ale mi nie odpowiadała... Zmieniła się jak nie ta sama i ni w pięć ni w dziewięć plotła dziwne rzeczy, których nie mogłem zrozumieć. Ale nie dam się wystrychnąć na dudka! Ojca mam za sobą a z nią dam sobie radę.

— Wierzę, że stary Wilhelm nie głupi i prędzej odda córkę zamożnemu i tęgiemu chłopcu, który się nazywa Wincenty Ortler, jak gdyby ją miał rzucić na szyję jakiemuś tam przybłędzie. A widziałeś twego rywala?

— Raz tylko i z daleka, ale to dosyć żebym go poznał. Niech się ma na baczności, bo jak go kiedy spotkam z dziewczyną... tyle jego życia.

— Słusznie, bardzo słusznie! — odrzekł Ambroży groźnie. — Spraw się z nim gracko, a dziewczynie pokaż, że nie dasz sobie pluć w kaszę. Idź więc kiedy się spieszysz! Niech Bóg prowadzi!

Wicek spuszczał się rączo wąską ścieżyną, która się wiła ślimakiem i rozmyślał nad ostatniemi słowami Ambrożego.

Pojął on dokładnie myśl w nich zawartą i ważył ich doniosłość, bo dziwnie odpowiadały jego gwałtownemu usposobieniu. — Nagle przystanął i wytężonym wzrokiem patrzał w dół, gdzie na drożynie zarysowała się postać samotnego wędrowca, zdążającego pod górę.

Lekko i swobodnie wspinał się nieznajomy po zakrętach stromo wijącej się drogi, przeskakując napiętrzone kamienie, które spływające wody nagromadziły.

Teraz spojrzał w górę ku chacie Ambrożego.

Wicek zaparł oddech w sobie jak myśliwy czatujący na zwierzynę. Przez małą chwilkę wahał się co zrobić, ale nie namyślał się długo i powziął widocznie jakiś stanowczy zamiar, bo z nietajoną radością obejrzał się do koła i stanął na środku wąskiej drogi, którą nieznajomy musiał przechodzić.

Henryk, bo on to zdążał na nocleg do chaty starego Ambrożego, ażeby jutro ze świtem przedsięwziąć wycieczkę do lodowców, zbliżył się do miejsca, na którem stał nieruchomie Wicek i zdziwiony popatrzył na chłopaka zamykającego mu przejście.

Nie przeczuwał, żeby ten z umysłu tak się usadowił, ponieważ był mu zupełnie obcy.

— Bóg z wami! — pozdrowił Henryk zwyczajem tamtejszych mieszkańców i czekał, żeby się Wicek ustąpił nieco z drogi i zostawił mu wolne przejście, ale ten ani się ruszył, tylko spoglądając z pod oka zapytał:

— A gdzie to panicz idzie?

— Do chaty starego Ambrożego! — odpowiedział Henryk najspokojniej.

— Właśnie ztamtąd powracam.

— Tak? — stary w domu?

— A w domu! Jest i stara Krystyna, ale jeżeli panicz idzie ją zobaczyć, to dalibóg że droga się nie opłaci.

Henryk zaśmiał się serdecznie z udałego dowcipu i odrzekł:

— Macie zupełną słuszność, żeby się droga nie opłaciła, chociaż Krystyna ma swoje zalety. Przyrządza wyśmienicie pierogi z kapustą, ale do patrzenia inną bym sobie wyszukał. Teraz przepuście mnie, bo muszę spieszyć, gdyż zmrok zapada.

— Cóż paniczowi tak pilno? — zagadnął Wicek oparłszy się wyzywająco na kiju. — Wprzód pomówimy z sobą.

— My z sobą?

— Tak! ja z paniczem! Nie znacie mnie? to nic nie szkodzi, ale ja was znam.

— Bardzo mi to pochlebia! ale z kim mam zaszczyt? — odparł Henryk wesoło, którego to zajście zaczynało bawić.

— Nazywam się Wicek Ortler i mam paniczowi coś powiedzieć. Znacie Kundzię, córkę Wilhelma?

— Któż jej tu nie zna? Więc ona was do mnie posyła?

— Kundzia? — wybuchnął Wicek gwałtownie. — Czy już tak jesteście z sobą? Spodziewałem się tego!

Z temi słowy przystąpił Wicek do Henryka przybrawszy groźną minę, ale ten najspokojniej skrzyżował ręce na piersi i powiedział wolno lecz dobitnie:

— Miej się na baczności panie Wincenty Ortler! zanadto blisko przystępujesz do mnie; nie lubię takiej poufałości!

Spokojny ton mowy zmięszał Wicka i mimowoli cofnął się o dwa kroki.

— Cóż mi masz powiedzieć? — zapytał Henryk po krótkiem milczeniu.

Wicek nie odpowiedział zaraz, mierząc oczyma Henryka, jak gdyby ważył jego siłę.

— Czy się dowiem? — nalegał młody Kroneg.

— Dobrze! Wiedz pan, że kocham tę dziewczynę! — odrzekł Wicek namiętnie, a oczy zapałały mu dzikim ogniem.

— Cóż dalej?

— To, że nie ścierpię ażeby się wdawała w jakieś bałamuctwa z miejskimi paniczami.

— Jej to powiedz!

— Wiele by mi pomogło! Kundzia zawsze robi co chce, a gdyby się dowiedziała, że mi to sprawia przykrość, dopiero by na dobre broiła.

— Miły stosunek, nie ma co mówić! ale jakież prawo masz do tej dziewczyny? Czy jest twoją narzeczoną?

— Byłaby nią dawno, gdybyś się pan tu nie zjawił. Teraz ani do niej przystąpić. Krótko i węzłowato! jak daleko jesteście z sobą? — zapytał Wicek gwałtownie.

Rozmowa stawała się drażliwą i każdy inny byłby nie odpowiadał wyzywającemu chłopakowi, ale Henryka bawiło dziwne to zajście, więc odrzekł z uśmiechem:

— Zachowanie się twoje jest więcej oryginalne jak bezczelne i mimo że nie powinienbym nawet słowa z tobą zamienić po niczem nieusprawiedliwionej napaści — podobasz mi się.

— Co mnie to obchodzi czy się panu podobam lub nie! Chcę odpowiedzi!

— Mój kochany! jeżeli pytasz w ten sposób, nie doczekasz się żadnej.

— Ej! namyśl się pan lepiej! bo jeżeli się rozejdziemy w złem...

— To co?

— To.... może być nieszczęście! — wymówił Wicek przez zaciśnięte zęby.

— Proszę? — aż tak groźnie?

Wicek hamował dotychczas swoją porywczość lecz szyderski ton Henryka burzył w nim wszystką krew. — Kurczowo ścisnął kij oburącz i zasadził się jak gdyby zamierzał napaść na przeciwnika, topiąc w nim groźne spojrzenie.

Kroneg śledził uważnie każdy ruch zapalczywego chłopaka nieunosząc się bynajmniej i spokojem pokonywał go jak pogromca pokonywa krwiożercze zwierzę, sposobiące się już do skoku.

Pod działaniem tej niewzruszonej zimnej krwi ochłonął Wicek z zapału i uczuł się bezsilnym w obec tego, który w jego mniemaniu zabrał mu co miał najdroższego.

— Wiem co się święci, bo widziałem was niedawno razem — wesoło szliście około parku tej pani i uśmiechaliście się do siebie serdecznie. To panu powiadam, że jeżeli cię raz jeszcze przydybię z moją dziewczyną... strzelam celnie! Zapamiętaj pan sobie i wiedz, że Wicek Ortler nie grozi na wiatr!

Nie czekając odpowiedzi przeszedł Wicek koło Henryka i nie oglądając się pospieszył szybkim krokiem na dół.

— Nie ma co mówić, zwięźle i zrozumiale! djabeł nie chłopiec! nasza miejska powaga nie imponuje mu ani trochę i wypowiada swoje zdanie bez ogródki. Gdybym przynajmniej wiedział o co mu chodzi właściwie? — wypowiedział Henryk z komicznym patosem i nie troszcząc się o całe zajście, dziwne i zagadkowe dla siebie, puścił się w dalszą drogę.

Ambroży siedział jeszcze przed chatą i strugał obuch do siekiery, a ujrawszy nadchodzącego Henryka rozchmurzył posępne oblicze i postąpił naprzeciw młodemu człowiekowi, do którego czuł niewytłumaczony pociąg.

— Otóż jestem ojcze Ambroży! — przywitał Henryk starego podawszy rękę na powitanie. — Zdaje mi się, że pogoda dopisze nam na jutrzejszą wycieczkę.

— I mnie się tak zdaje! — odpowiedział Ambroży, rozglądnąwszy się po niebie, na którem zabłysły pierwsze gwiazdy, a potem dodał: — Jeżeliby dzień nie był spokojny, szkodaby pańskiej fatygi. Droga do lodowców ciężka i niebezpieczna, a jak tylko minie moją chatę, wiedzie przez rozpadliny i zaspy. Nie z każdym ważyłbym się na tę wyprawę, ale z panem idę spokojny — doprawdy, że się nie chce wierzyć, żeby panicz z miasta był taki wytrzymały i umiał chodzić po górach lepiej od tych, którzy pośród nich wzrośli.

— Mam w sobie coś z natury dzikiej kozy — odpowiedział Henryk ze śmiechem — i dla tego trudno mi oddychać w zamknięciu, między stosami szpargałów urzędowych. Na samo wspomnienie tego dobrowolnego więzienia przechodzą mnie śmiertelne dreszcze. Doprawdy, że zostałbym chętnie z wami ojcze Ambroży i strugałbym z ochotą styliska lub obuchy.

— Myślisz pan, żebym się na to nie zgodził? — odparł Ambroży z wesołym uśmiechem, co mu się rzadko zdarzało. — Ale życie górala nie dla was, a w zimie to byś pan już pewnie u nas nie wytrzymał.

— Może i słusznie mówicie! Świat ma wiele ponętnych stron, któreby mnie napowrót do niego pociągnęły — ale nie odrywajcie się od pracy. Rozglądnę się tymczasem po dolinie, którą księżyc oblał bladem swem światłem, walcząc z ostatnimi pobłyskami zamierających promieni słonecznych — i z temi słowy usiadł Henryk na ławce stojącej pod ścianą chaty a Ambroży kończył swoją robotę, nie troszcząc się już o gościa, z którym w poufałej był zażyłości, pomimo nie dawnego zapoznania się.

Niedostępny dla wszystkich stary Ambroży, uczuł od pierwszej chwili pociąg do Henryka i zdawało mu się, że ciepło, które wiało od wesołego chłopca ogrzewa jego wypalone i obojętne na wszystko serce.

— Oczarował mnie ten panicz z miasta! — mawiał Ambroży, i nie było rzeczy, którejby odmówił młodemu przyjacielowi.

Henryk siedział zadumany z okiem utkwionem w rozległą dolinę, gdzie w bladem świetle rysowały się szczyty dachów willi Rehfeld.

Po dłuższem milczeniu odezwał się Ambroży.

— Za trzy dni odjeżdża Henryk, a kiedy wróci?

— Nie prędzej aż z przyszłą wiosną. Nie ma rady, trzeba czekać. Możecie być pewni, że będę tęsknił i niecierpliwie wyglądał chwili powrotu!

— Ale czy ta tęsknota tylko gór się tyczy? Ej panie Henryku! bodaj czy nie zostawiacie tutaj kogo drogiego?

— Zdaje się wam... — odparł żywo młodzieniec nie podnosząc oczu, lecz prędko wpadł na zwykły sobie lekki ton mowy i dodał: — Bierzecie mnie ojcze Ambroży na egzamin jak ten szalony chłopak, który mnie napadł na drodze i chciał koniecznie wmówić, że się kocham w jego Kundzi.

— Kto panu to mówił? — zapytał Ambroży wpatrując się w Henryka.

— Człowiek, którego widziałem pierwszy raz w życiu. Nazywa się Wicek Ortler... musicie go znać, bo wracał od was.

Twarz starego przybrała surowy wyraz i chmura osiadła na pooranem czole; — po krótkim namyśle odezwał się:

— Wicek? był u mnie! a więc to pana podejrzywa... Panie Henryku! usłuchaj mojej rady i daj spokój dziewczynie... z Ortlerem nie ma co żartować.

— Cóż u djabła! przecież mu nie zabieram jego Kundzi! ani mi to w głowie.

— Jeżeli pan o tem nie myślisz, to dziewczynie musiało się przewrócić w głowie i ona myśli o panu. Wicek wyszedł ztąd jak szalony, bo coś tam między nimi zaszło.

— Niech mi dadzą święty spokój! Więc poróżnili się z sobą o mnie?

— O obcego, który prześladuje Kundzię na każdym kroku i smali do niej koperczaki — któż inny jest tu obcym prócz pana?

Henryka zastanowiło to nowe odkrycie, ale niebawem uśmiechnął się szyderczo i mówił jakby do siebie:

— Zaczynam pojmować! Dlatego to więc tak gorliwie studjuje zwyczaje i obyczaje tutejszych mieszkańców! Nie patrz na mnie z niedowierzaniem ojcze Ambroży! jesteś w błędzie i ten twój Wicek także źle trafił, czepiając się mnie właśnie. Znam Kundzię i często śmiałem się z nią razem w gospodzie, a przed kilku dniami spotkaliśmy się pod lasem i wtenczas musiał nas widzieć ten Otello w chłopskiej sukmanie. Nie dziwię się teraz, że nie zbyt grzecznie przywitał mnie przed godziną, ale niech się z swemi podejrzeniami zwróci do kogo innego. Daję wam słowo ojcze Ambroży, że nie masz pomiędzy mną i Kundzią nic takiego, czegoby nawet jej narzeczony nie mógł wiedzieć. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(C. d.) Maks z głębokiem westchnieniem szedł krok za krokiem ulicą kasztanową, w której było już zupełnie ciemno. Pod noc zerwał się wicher gwałtowny, trzęsąc konarami drzew, aż się z nich sypały owoce najeżone kolcami, odskakując od ziemi z głuchym łoskotem. Pnie grube wyglądały w pomroku na dwa rzędy ponurych widm, czarno odzianych.

Nagle zdawało mu się, że jedna z tych ciemnych postaci występuje z szeregu i zagradza drogę.

Stał przed nim ojciec.

Maks drgnął zrazu, trwogą przejęty, jak zawsze, gdy przypuszczał, że ktoś z jego najbliższych mógłby podpatrzeć jego miłośny stosunek. Następnie pod świeżem wrażeniem rozmowy z Martą, otrząsł się z przerażenia, zebrał całą odwagę i w lot postanowił skorzystać z nadarzającej się cudownym trafem sposobności. Obiecał to Marcie, a chwila podobna może się więcej nie zdarzyć.

— Ojcze! — przemówił Maks nieśmiało — tak rzadko widuję cię sam na sam, a mam ci się z czemś zwierzyć, o coś błagać usilnie.

Ojciec machnął ręką niechętnie, jakby się chciał pozbyć natręta i rzekł głucho, głosem urywanym:

— Nie dręcz mnie i siebie. Wszystko na nic się nie przyda. Wiem o czem chcesz mówić, ale to po prostu ułuda.... Tylko daj pokój giestom melodramatycznym... i nie przyciskaj serca dłonią! — ciągnął dalej z sarkazmem zjadliwym, chwytając oddech w pierś ściśniętą i wlokąc się z wielkim trudem, wsparty na ramieniu syna. — Nie czynię ci wyrzutów z tego powodu. Każdy z nas był kiedyś młodym i... podobne głupstwa popełniał. Winien temu jedynie frant przebiegły, który ci wsadził na nos różowe okulary, satyryk potężny, stwarzający umyślnie owe szkiełka ułudne, aby świat przez niego w otchłań pchnięty, nie wyludnił się prędzej, niż on mu przeznaczył. Że na tym świecie, ziemią nazwanym, serc miljony pękają od bólu, czy jego to co obchodzi? Przez różowe okulary widzisz przed sobą uroczą, potulną „Gretchen“, oddającą ci się z duszą i ciałem, a gdy tę słabą istotę do piersi przyciśniesz, dotąd ci tylko w oczy patrzącą pokornie, jakby chciała myśli odgadnąć najukochańszego, zmienia się ona w furję, która ci życie zatruje i z domu zrobi istne piekło! Różowe okulary łudzą cię, żeś na coś potrzebny, że bez ciebie świat by się obejść nie mógł; zapałem uniesiony, radbyś dopomódz Atlasowi i ramieniem potężnem podeprzeć bryłę ziemską; gdy atoli zginiesz ciężarem nad siły przygnieciony, te tu błyskotki — szarpnął drżącemi palcami wstążeczkę od orderu, tkwiącą w dziurce od surduta — to ostre wędzidło założą innej szkapie i każą ciągnąć wóz państwowy w pocie czoła. Przez różowe okulary wyobrażasz sobie niebo, jako wieczną ojczyznę, pełną czaru i szczęśliwości; tęsknisz do niej przez cały nędzny żywot ziemski, aby tam przynajmniej spocząć po trudach i znaleźć nagrodę za cierpienia twoje; a w rzeczywistości jest to otchłań, w której wirują światów miljony, tak samo zapewne zamieszkałe przez istoty jak my nieszczęśliwe i schodzisz prostą drogą do mogiły, robactwu na wyżywienie. I to jeszcze najmędrsze z tego całego kuglarstwa; tam wreszcie musi ustać wszelkie kłamstwo dla tych, co ułożyli się spokojnie na sen nieprzespany. Ci zaś, którzy po nich pozostali, oszukują i łudzą dalej siebie i drugich, aż po koniec świata!

— Na miły Bóg! — wykrzyknął Maks struchlały. — Ojciec chory! ciężko chory! Dla tego tak czarno, tak ponuro patrzy na wszystko!

— Przeciwnie — roześmiał się gorzko radca. — Mam chwilę jasnowidzenia, co się ludziom rzadko przytrafia, i świat mi się przedstawia takim, jakim jest rzeczywiście.

Maks nie wiedział co na to odpowiedzieć. Słowa mu na ustach zamarły. I na tem skończyła się jego tak upragniona z ojcem rozmowa.

Doszli do furtki ogrodowej. Ojciec stawiał kroki chwiejne, jakby się nie mógł utrzymać na nogach.

I tu wicher zamiatał konarami drzew, a w gęstwinie huczało i trzeszczało, jakby się ktoś przez nią gwałtem przedzierał. Naraz wiatr ucichł i tylko na trawniku liście suche z lekka zaszeleściały. Noc czarna zapadła tymczasem. Maks po omacku poszukał klamki od drzwi głównych i otworzył takowe.

Radca utknął na progu i zatoczył się w sieni, chwytając kurczowo za poręcz schodów.

— Pst! — szepnął — nie wkradł się kto za nami? Słyszysz?...

W samej rzeczy, w sieni jakby coś załopotało, i przeciągnął zimny powiew, że aż płomień gazowy, dotąd nie zgaszony, wysoko w górę wystrzelił, a drzewa pomarańczowe i inne rośliny na schodach poustawiane, rzucając cień złowrogi, zdawały się tańczyć w około radcy, z mozołą dźwigającego nogi ze stopnia na stopień.

Maks uczuł dreszcz w całem ciele, ujrzawszy postać ojca w jaskrawem oświetleniu gazowem. Czaszka łysa wyglądała na trupią, kości w chudych policzkach sterczały, zaledwie skórą żółtą obciągnięte; usta obwisłe, zdawały się bez kropelki krwi, oczy zbladłe i obumarłe gdzieś w głąb zapadły.

— Gdzież służący ojca? I mój luzak wcale wyjść nie raczy! — zawołał Maks niecierpliwie.

— Daj pokój! — skinął ojciec ręką. — Zapewne wcześniej poszli spać, aby siły zebrać na jutro. Jutro przecież u nas wielki bal! — ruszył gniewnie ramionami. — Nie budź nikogo, nie rób hałasu. I ja tęsknię li do ciszy, do wypoczynku..... ach! spokój! spokój! jak jabym go potrzebował!

Szedł dalej po schodach, ale nie tak cicho jak zwykle, lecz ciężko stąpając i chwytając się poręczy, niby obcy w domu.

Synowi przyszła myśl do głowy, iż nie trzebaby może ojca tak puścić, że powinien był głośno wypowiedzieć słowa, cisnące mu się na usta:

— Ojcze! nie rozchodźmy się w tej wierze nieszczęsnej, żeśmy oszukiwani, oszukańcy, że miłość wszelka jest li kłamstwem i ułudą...

Zatrzymał się pod schodami, nadsłuchując. Ojciec wszedł na korytarz i wreszcie drzwi do swojego pokoju otworzył, gwałtownym ruchem zatrzasnąwszy takowe. Jak nieraz w życiu, usta nie wymówiły tego, co serce rozpierało; kilku słów pociechy, mogących niejedno przykre uczucie jeżeli nie zatrzeć, to przynajmniej ułagodzić.

Maks wszedł do siebie, z dziwnem wahaniem. Czemu trwoga nieokreślona oddech mu tamuje? Jakiż nowy cios ma spaść na niego tajemniczy a nieubłagany?

Nad głową, gdzie mieszkał ojciec, usłyszał głuchy łoskot, jakby upadającego ciała. Skamieniał.

Oprzytomniawszy, rzucił się ku drzwiom, przebiegł pędem schody i wpadł do sypialni ojca.

Przeczucie nie omyliło go. Radca leżał na kobiercu do połowy rozebrany, z ustami kurczowo wykrzywionemi, ze straszną, szklanną, szeroko rozwartą źrenicą.

— Ojcze! mój biedny ojcze! — krzyknął syn rozpaczliwie, klękając obok niego.

Radca poruszył ustami, ale bełkotał tylko coś niezrozumiałego.

Maks zerwał się co żywo, szarpnął za taśmę od dzwonka, że aż w całym domu zadźwięczało złowrogo.

Zbiegła się służba. Jeden przez drugiego cisnął się we drzwiach, patrząc na pana, udarem rażonego, okiem wytrzeszczonem i pełnem jednocześnie bezmyślnej, głupiej ciekawości.

Na korytarzu rozległ się głos krzykliwy pani Aurelji:

— Któż to tak śmie po nocy hałasować? Cóż się to stało?

Rozstąpili się przed panią z uszanowaniem. Tuż za matką zjawiła się i Helena, zdziwiona i zaniepokojona.

Pani postąpiła dalej z ostrym wyrazem w twarzy, z ustami wydętemi, z głową dumnie podniesioną. W domu, gdzie samowładnie panowała, zawsze tak wyglądała, uśmiech łagodny i słówka miodowe tylko dla gości mając w zapasie. Jakby jednak pod dotknięciem rószczki czarodziejskiej rysy jej zmiękły, oczy łzą zaszły, a z twarzy znikł wyraz dumy i złego humoru.

Zsunęła się obok męża omdlewająca i schwyciła go za obie ręce, wołając głosem serce rozdzierającym:

— Gotfrydzie! Gotfrydzie!

Nie odpowiedział.

Odzyskała szybko przytomność i zwykłą w działaniu energję. Sama pomogła złożyć męża na łóżku i wyprawiła służącego po lekarza. Maks jakby odurzony, klęczał w nogach przy łóżku; Helena wybiegła, żeby na przybycie radcy medycynalnego włosy cokolwiek przygładzić i przykryć pełnym kokieterji rannym czepeczkiem „à la paysanne."

Nadjechał wreszcie lekarz, szkolny kolega i stary przyjaciel pana domu. Poważny i uroczysty pochylił się nad pacjentem, przykładając ucho do serca..... chwilę stał tak bez ruchu; cała rodzina w niemem oczekiwaniu, w lekarza, jak w tęczę patrzyła. W pokoju było cicho, jak makiem posiał. Podniósł głowę, powiódł okiem dokoła, unikając jednak wzroku najbliższych choremu. Nie chciał ich łudzić, straciwszy sam wszelką nadzieję. Po cichu wydał niektóre rozporządzenia, trzymając w palcach puls chorego.

Pani Althaus rozesłała całą służbę w tę i ową stronę. Lekarz pełnił swoją powinność ze spokojem filozofa, który już nieraz w życiu staczał walkę zaciętą i wychodził z niej pokonanym przez odwiecznego, nieubłaganego wroga ludzkości..... śmierć. Tak przeszły minuty... godziny całe straszliwego niepokoju i bolesnej niepewności.

Chory nagle drgnął i poruszył się, jakby chciał powstać. Twarz krwią mu nabiegła. Oddech ustał na chwilę. Później głucho stękał i jęczał płaczliwie jak niemowlę. I znów nastała cisza. Znowu ciężko odetchnął raz i drugi; w piersi podnoszącej się i opadającej słychać było teraz złowrogie charczenie. Aż nareszcie zdawało się, że jakaś niewidzialna a miłosierna dłoń przesunęła się po ustach boleśnie wykrzywionych. Zamknęły się, jęk ustał, twarz wyjaśniła się i wypiękniała, owiana nadziemskim spokojem.

— Skonał! — szepnął lekarz, delikatnie głowę radcy na poduszkach układając.

Pani Aurelja była wdową. Z rękami załamanemi wpatrywała się to w męża, to w lekarza wzrokiem błędnym, jakby ją zmysły odstępowały. Przed nią leżały zimne zwłoki, jeszcze tak niedawno ślepo jej woli posłuszne. Twarz przybrała wyraz surowej powagi. Taką nigdy za życia nie była. Usta blade i błogo uśmiechnięte, zdawały się przemawiać do obecnych:

— Cóż wy mnie obchodzicie? Nie do was już należę.

Skończyło się jej panowanie. I jej wolę wszechwładną złamała siła najwyższa. Postać niewidzialna stała z klepsydrą wypróżnioną w ręku wychudłem u wezgłowia i szczerzyła do niej zęby w szatańskim chichocie:

— Łaj, krzycz, rozkazuj! Na nic ci się to wszystko nie przyda. Zerwałam sprężynę automatu, którym poruszałaś według twego kaprysu i woli. Ten, który spełniał każdą twoją zachciankę, umarł. Jeżeliś dotąd żyła, aby używać, teraz poznasz co cierpienie i niedostatek. Męża twego złożą sześć stóp pod ziemię, a ciebie zrzucą ze szczytu, na którym tak dumną byłaś. Świat przejdzie nad tobą do porządku dziennego, ludzie zaś wkrótce zapomną, żeś kiedy istniała.

Tak przemawiała śmierć, ów wróg nieubłagany żyjących.

Z drugiej strony atoli jej szare skrzydła przysłaniały oczy nieboszczyka, aby nie widział obrazu rozpaczliwego rodziny pod ciosem nagłym upadającej; zatykała mu uszy, aby nie słyszał głośnych łkań i jęków wkoło siebie. Bo śmierć jest przyjaciółką litościwą dla tych, którzy raz spoczną na jej zimnem łonie.

Lekarz napisawszy świadectwo skonu, pierwszy przemówił do wdowy kilka słów, pełnych ubolewania i odszedł.

Pani Althaus podziękowała mu i pożegnała go bezmyślnie.

Gdy za lekarzem drzwi się zamknęły, przyczołgała się tak jak była na klęczkach do biurka mężowskiego. Otworzyła skrytkę, gdzie leżały papiery najważniejsze i wielce stopniała gotówka. W palcach drżących nerwowo szeleściały papiery przerzucane; liczby tańczyły przed jej oczyma, gorączką pałającemi, a usta liczyły machinalnie. Prócz pensji mała się tylko sumka została.

Żeby choć był przeżył dzień jutrzejszy. Pierwszy października. Byłaby miała prawo do całego kwartału... w drodze łaski.

Oparła łokcie na biurku i głowę w dłoniach ukryła. Czy może chciała w cichości ducha oddać się słusznemu żalowi? Gdzież tam!..... ona liczyła i liczyła...

Maks dotąd klęczał obók łoża śmiertelnego. Nie mógł zapanować nad ciężkim żalem, od którego mu serce niemal pękało. Odszedł więc od nich pełen goryczy i życiem znużony najokropniej. Czyż to mogło być synowi pociechą, iż nigdy ojcu hardo nie odpowiedział, nigdy go nie obraził? Sprawiłże mu jednak w życiu bodaj chwilę radości? Byłże kiedy z syna dumnym i prawdziwie zadowolonym? Oh! żeby mu był choć dziś wieczór nie szczędził kilku marnych słówek! żeby go był zapewnił, jest do ojca całą duszą przywiązany. Gdyby był choć raz do ust czule przycisnął rękę lodowatą, którą daremnie teraz łzami oblewa i pocałunkami obsypuje! A ta ręka na nich wszystkich bez wytchnienia pracowała! Lżejby mu było na sercu, nie przygniatałby go ciężar straszliwy, że nigdy już przez wieczność całą nie nagrodzi tego, czego dziś wieczór nie dopełnił. Wypuścił rękę z dłoni rozpalonych. Zwisła bezwładnie z łóżka krawędzi jakby kamienna.

* * *

Wzdłuż ulicy, zamieszkałej przez rodzinę Althaus, ciągnął się długi szereg powozów, z pysznym oszklonym karawanem na przodzie. Kondukt żałobny dążył ku głównemu miejskiemu cmentarzowi.

W pierwszym powozie siedział Maks obok duchownego, śmiertelnie blady. Wiózł nie tylko zwłoki ojca na wieczny spoczynek; miał wraz z niemi złożyć w zimnej mogile wszelką nadzieję i szczęście własne; miał się pożegnać z honorem, łamiąc dane słowo, popełniając czyn niesumienny!

Po nocy spędzonej bezsennie, przebywszy to wszystko najsmutniejsze, czem pozostali, mimo, że im się z żalu w głowie mięsza, muszą się zająć, aby jeszcze i tym martwym a tak im drogim zwłokom oddać cześć należną, gdy już zwłoki złożono na wspaniałym katafalku, otoczonym i ozdobionym całą bogatą florą, która miała służyć do balu, wdowa późnym wieczorem dnia następnego zwołała dzieci do swego pokoju na walną naradę. Wypowiedziała bez ogródek, jak im ojciec mało zostawił, rozwijając plan cały, na co myśli użyć tych resztek, żeby im mogły przyszłość świetną zapewnić.

Maks truchlał zrazu i dreszcz nim wstrząsnął od stóp aż do głowy. Zawstydził się jednak sam przed sobą małodusznego tchórzostwa i zebrał się na odwagę. Jednym tchem wypowiedział, że myśli wystąpić z wojska natychmiast, aby pracować w sposób zgodny z jego wrodzonymi talentami. Własną pracą spodziewa się tyle zarobić, aby módz wyrzec się spadku po ojcu na korzyść matki i siostry małoletniej.

Jak jedno słowo z drugiego wypływało, jak nareszcie ośmielił się wyznać szczerze, iż chce po prostu rysować wzorki dla magazynów, sprzedających hafty, sam byłby nie umiał odpowiedzieć, gdyby go kto znienacka zapytał.

Dotąd jednak miał w pamięci chwilę straszliwą, gdy matka przerwała mu, krzycząc jak opętana:

— Taką ma być zatem moja przyszłość? A on tam ma leżeć spokojnie, jak jaki magnat? Dla zwłok zimnych i nieczułych kosztowna parada, a dla nas pozostałych los piekielny żywcem pogrzebanych? Nad nim mają prawić mowę pogrzebową, wynosząc pod niebiosa jego cnoty i przymioty? Ja, jego wdowa, powiem wszystkim zgromadzonym, czem był właściwie, ja go osądzę, bom go nawskroś znała! Będę wołała głosem wielkim, że aż te uszy martwe usłyszą, jaki wdowie swojej los zgotował!

Miotała się w gniewie wściekłym. Maks zatrzymał ją niemal przemocą, błagając usilnie:

— Nie czyń tego, nie czyń tego, matko! Pozwól mu choć po śmierci leżeć spokojnie!

Wcale jednak nie myślała się uspokoić.

— Nie mogłem przecież matki doprowadzać do ostateczności i dopuścić do takiego skandalu! — uniewinniał się w duchu, gdy z daleka ujrzał domek Marty w bocznej uliczce. Wcisnął się w sam kąt powozu, jak winowajca i przymknął oczy zbolałe. Na nowo zabrzmiał mu w uszach złowrogo piorunujący głos matki i rozkaz surowy, aby pod grozą jej przekleństwa pamiętał o synowskiej powinności i wyrzekł się na wieki niegodnych miłostek z prostą wyrobnicą.

Gdy jeszcze próbował, drżąc na całem ciele, wtrącić nawiasem, iż dał słowo, że sumienie na takie

zerwanie mu nie pozwala, oświadczyła wyniośle i stanowczo:

— Ja zatem sama potrudzę się do tej zuchwałej i przewrotnej osoby. Zobaczymy, czy natręctwo tej bezwstydnicy nie ustąpi, spotkawszy się oko w oko z matką srodze obrażoną?

I znowu Maks wykrzyknął:

— Nie czyń tego, nie czyń tego, matko! Wolę już sam do niej napisać. Stanie się wszystko podług woli i życzenia mamy.

Jak słusznie mówił ojciec: — Wszelka nadzieja jest li marną ułudą!

Pogrzeb odbył się nadzwyczaj uroczyście. Podczas ceremonji w domu, stała żona u stóp katafalku, blada śmiertelnie, ale jak zawsze dumnie wyprostowana. Cios nagły, nie potrafił ugiąć jej, nie pochylił ku ziemi — tej zawsze jeszcze imponującej postaci. Długa powłoka od ciężkiej sukni żałobnej, spadała na posadzkę w fałdach malowniczych — twarz dotąd klasycznie piękna, była przez pół osłonięta szerokim z krepy czarnej, wdowim welonem. Tylko na ciemnoblond włosy, spadł w tych dniach troski i zgryzoty dotkliwej... pierwszy szron. Maksowi serce się ścisnęło kurczowo, gdy spostrzegł na głowie matki... przedwczesną siwiznę.

Mimowolnie oglądnął się za siostrą.

Nie spotkały się jednak ich oczy w niemem, serdecznem i braterskiem porozumieniu. Wzrok Heleny błądził ukradkiem z trwogą i niepokojem, z po za mogiły wieńców, na trumnie złożonych, skierowany w stronę, gdzie u stóp katafalku, stała garstka urzędników sądowych.

Między nimi był i Roman... z powinności. Tak jednak wytrwale oczy przysłaniał długiemi rzęsami, czy ze szczerego współczucia, czy z innego powodu, dość, że Helena daremnie za nim wzrokiem goniła. A trudnoż go było słowem zaczepić w obec trumny z ojca zwłokami. — „Wszystko na świecie jest kłamstwem, wszystko ułudą!“ — przypomniały się znowu Maksowi ostatnie słowa ojca. I ta cała żałoba była fałszem, była komedją!

Stanęli nakoniec przed bramą cmentarną. Słońce złociło wierzchołki alei kasztanowej, w której przed trzema dniami wicher dął i huczał tak ponuro, jakby w akompaniamencie, do ojca słów rozpaczliwych. Niebo było jasne, bez jednej chmurki.

Wszystko poszło gładko, porządkiem odwiecznym i nareszcie... skończyć się kiedyś musiało. Nad otwartą mogiłą stali żałobni posługacze i śmierci heroldowie, czyniąc niejako honory tego ostatniego ciasnego domku. Spuszczono trumnę lekko na sznurach. Z powozów powysiadał orszak żałobny, muzyka grała żałośnie marsza szopenowskiego.

Przed Maksem mignął wysoki krzyż, przed trumną niesiony i zdało mu się w tej chwili, że z trumny metalowej dobywa się chichot szatański, iż poruszają się usta zmarłego, szepcząc urągliwie:

— Wszystko fałsz! wszystko kłamstwo!.. w nic nie wierzyłem!

Na aksamitnej poduszce nieśli najwyżsi urzędnicy ordery nieboszczyka.

— Nędzne błyskotki!.. wędzidło, które innej szkapie założą, aby w pocie czoła wlokła wóz państwowy! — znowu echem pogrobowem, odezwało się w sercu Maksa.

Duchowny przemówił, pokropił trumnę wodą święconą i... zaczęto sypać ziemię, grudkę po grudce. Pierwszą syn rzucił machinalnie. Wkrótce trumna błyszcząca zniknęła pod szarym pokładem. Teraz z kolei zbliżali się znajomi, bądź z ową zdawkową monetą pociechy banalnej, tak drażniącej ból prawdziwy: „Bogu tak się podobało!.. Odwieczne prawo natury!.. Wszyscy się tam prędzej czy później znajdziemy!..“ — bądź z wiele mędrszem i cechującem pewien takt i delikatność... niemem współczuciem, poprzestając na ręki uściśnieniu synowi nieboszczyka. Dziękował każdemu, bezmyślnie, nie wiedząc nawet kogo ma przed sobą. Został nareszcie sam nad świeżą mogiłą.

I naraz zazdrość dzika, namiętna, miotać nim zaczęła. Gdybyż on mógł był zniknąć tak nagle, z tego nędzy i łez gorzkich padołu — uwolnić się od trosk i bolesnych powinszowań, czekających jedynie tych, którzy nie mają jeszcze prawa spocząć na wieki. Ach gdyby tak można było nie staczać więcej walk rozpaczliwych z własnem sumieniem i przekonaniem, nie słyszeć matki wyrzutów i złorzeczeń, nie patrzeć w jej rysy kurczowo drgające i gniewem wściekłym wykrzywione, nie drżeć przed wybuchami szalonemi jej łkań spazmatycznych! (C. d. n.)

Korespondencja redakcji.

Wna hr. K. w B. — Dziękujemy.

Wny E. B. w Ost. — Umieścimy.

Wna St. K. w Dro. W przyszłym numerze.

Wny W. P. w N. S. — Prosimy.

Wny Leliwa pod Krakowem. Dziękujemy. Szkoda, że dla pana tak źle wypadło.

Wny W. Ros. w Tar. Poświęcasz pan często sens dla rymu. Jak może serce, wywróżyć losy nieba? I takich rzeczy tam wiele. Piszesz pan naprzykład:

Na niego dziewa
Przepłakawszy (?) oczy,
Czeka, nie ziewa,
Choć sen ją mroczy.

Przeczytawszy to, z pewnością by ziewnęła.

Wna M. W. w Ost. Dzięki! Prosimy nadesłać, a sądzimy, że tak źle nie wypadnie.

Wny K. L. w D. Wiosna! zieloność! a więc i w głowie...

Wny Stan. w miejscu: Kończysz pan:

... Mych myśli kolumny
Pytały mnie się: czemuś taki dumny?
A ja odrzekłem z moich myśli urny:
Nie jestem dumny — lecz mój umysł chmurny!

Mybyśmy inny rym wyszukali do urny...

„Drukarnia Polska“ ulica Jagiellońska l. 16.